Tu żyje duch miasta

W latach 1960-1980 mieszkałem na starym mieście. Byłem kolejno uczniem liceum, studentem, pracowałem zawodowo. Obserwowałem, jak zmienia się zabudowa tego obszaru, jego funkcje, wreszcie mentalność mieszkających tu ludzi – pisze ***Adam K. Winogrodzki***

ZBIORY PRYWATNE

Autor wraz z matką przed zrujnowanym budynkiem Zbrojowni przy Targu Węglowym w Gdańsku

Miałem to szczęście, że przez tak długi czas udało mi się mieszkać w samym sercu Gdańska. Najpierw z okna miałem widok na wysmukłą wieżę ratusza, potem na szare wody kanału Motławy. Stąd tylko parę kroków było do reprezentacyjnej arterii – ul. Długiej.

Zawsze podziwiałem ten fragment miasta. Tędy przecież wjeżdżali do niego polscy władcy, cesarz Francji, kanclerz Rzeszy, szach Iranu, prezydenci, premierzy i I sekretarze. Ja jednak oglądałem Trakt Królewski z zupełnie innej perspektywy. Długa miała swój styl i koloryt. Za czasów wczesnego Gomułki nie była jeszcze tym, czym jest dzisiaj. Wymuskanym salonem wystawowym, pełnym drogich sklepów i jeszcze droższych restauracji. Wręcz przeciwnie – były tutaj zwykłe punkty handlowe, dość podrzędne restauracje, a nawet zwykłe spelunki. Niewątpliwą atrakcję stanowiło reprezentacyjne kino Leningrad (obecnie Neptun) – miejsce spotkań towarzyskich, randek, skąd wszędzie było blisko.

ZBIORY PRYWATNE

Ulicą Długą jeździły kiedyś tramwaje...

Wieczorami na Długiej niepodzielne rządy obejmowała grupa „Teksasa". Jej przywódca był człowiekiem postury boksera Gołoty. Miał dłonie niczym bochny chleba i ogromną siłę fizyczną, której zresztą nie nadużywał. Przypominał bohatera powieści Steinbecka „Myszy i ludzie".

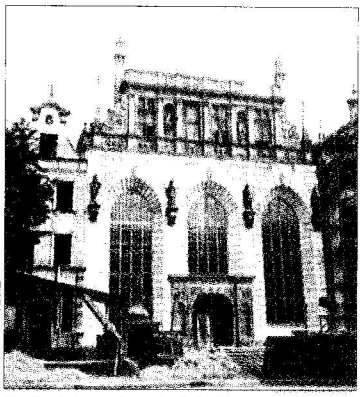

ZBIORY PRYWATNE

Dwór Artusa i sąsiednie kamieniczki w trakcie odbudowy

„Teksas" miał dwóch przybocznych. „Czajnik" charakteryzował się piorunującym prawym sierpem, „Lisek" lubił częstować przeciwnika ciosem z byka. Słynne były ich bójki z chłopakami z innych dzielnic Gdańska. Nikt jednak w tym czasie nie używał bejsboli, nie kopał pokonanego do utraty przytomności. Nie było też, tak zwyczajnych dziś, kradzieży „na wyrwę" czy polowania na zagranicznych turystów. Tzw. margines społeczny obowiązywał niepisany kodeks honorowy, o czym dzisiaj zupełnie zapomniano.

Z przybytków gastronomicznych najbardziej utkwiła mi w pamięci zlokalizowana przy Długim Targu Pijalnia Piwa i Wód Gazowanych. Urządzono ją w pięknych, zabytkowych piwnicach pod Dworem Artusa. Wód gazowych tu raczej nie pito, natomiast piwo (w kilku gatunkach) lało się strumieniami. Funkcję stolików pełniły wielkie beczki. Dziwne bywało tu towarzystwo. Lumpy, menele, emerytowane córy Koryntu, ale też studenci, artyści, dziennikarze. Ciekawostką była „ściana płaczu", czyli męskie w.c. z rurką, z której kapała woda. Smród tu panował taki, że wyciskał łzy z oczu (stąd nazwa). Teraz w tych samych salach mieści się elegancka restauracja Piwnica Rajców.

Klienci o bardziej wysublimowanych gustach też mieli w czym wybierać. Kilka restauracji oferowało wieczorem dancingi (kto dziś używa tego słowa?) z tańcami przy orkiestrze i „programem artystycznym". Przy wejściu odpowiednie wywieszki informowały, że obowiązuje strój wieczorowy oraz konsumpcja. Strój polegał na tym, że mężczyzna musiał być w krawacie (w ostateczności można go było wypożyczyć u szatniarza), natomiast konsumpcję należało wykupić. Chodziło o to, aby nikomu nie przyszło do głowy spędzenie wieczoru przy kawie lub herbacie.

Część artystyczną rozpoczynał prestidigitator. Ów mistrz czarnej i białej magii wyciągał z cylindra żywe króliki czy gołębie, a z rękawa sztuczne kwiaty lub talie kart. Gwoździem programu był jednak występ striptizerki – pamiętam taką właśnie produkcję wykonaną w lokalu Pod Wieżą. Panienka była przebrana za uczennicę, miała nawet tornister. Na koniec występu zupełnie uczennicy nie przypominała. Panom się to całkiem podobało, paniom mniej.

Nocne życie kończyło się, gdy podwoje zamknęła ostatnia knajpa. Zmęczone towarzystwo wędrowało pod teatr Wybrzeże, gdzie powinny czekać taksówki – zwykle ich jednak nie było.

Około czwartej rano na Długiej zjawiali się mleczarze ze swoimi wózkami i wnosili biały płyn w litrowym szkle pod drzwi mieszkań. Potem miasto zaczynało budzić się do życia. O szóstej mały stateczek białej floty zabierał z nabrzeża Motławy stoczniowców do ich zakładu. Powoli zaludniały się ulice, otwierano sklepy. Latem wytaczał na Długi Targ swój wózek sprzedawca wody mineralnej (z sokiem lub bez). Obok można było kupić białą watę cukrową na patyku – atrakcję dla dzieci. Fruwały setki gołębi, szumiała wodą fontanna Neptuna.

Dopiero potem zajmowali swoje strategiczne pozycje cinkciarze, ruchome kantory wymiany walut tego czasu. To zadziwiające – w tym okresie wolno było posiadać waluty obce, natomiast handel nimi był zabroniony. Nikt się jednak tym nie przejmował. „Zielone" można było sprzedać i kupić bez problemu na ulicy, choć milicyjny komisariat był obok. Swoją drogą, niejeden poważny biznesmen rozpoczynał swoją karierę od ulicznego „exchange money".

Dzisiejszy Gdańsk jest zupełnie inny. Mamy kapitalizm ze wszystkimi tego konsekwencjami. Konkurencja czyni cuda, pełne są sklepy (towaru), puste restauracje (drogo). Przez parę lat było nawet przy Długiej kasyno gry, ale jakiś urzędas nakazał likwidację tej jaskini rozpusty i zła. Obecnie serwują tam fast foody.

Gród nad Motławą przez setki lat swego istnienia przechodził różne chwile – złe i dobre. Na przykładzie starówki widać jednak, że istnieje coś takiego jak genius loci – dobry duch czuwający nad miastem i jego mieszkańcami.

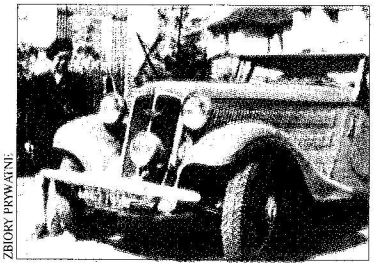

ZBIORY PRYWATNE

Obok samochodu ojca (niemiecki hanomag sturm, w czasie ostatniej wojny używany przez hitlerowską generalicję)

GDY1